

Camp jak z amerykańskiego filmu



KLAUDIA
FAFFEK

Stany Zjednoczone – to było moje ogromne marzenie, od kiedy zaczęłam oglądać vlogi „Busem przez świat”. Marzenie, o którym myślałam, że może uda się je kiedyś spełnić, z naciskiem na „może”. A w tym roku pojechałam tam. Teraz, kiedy o tym myślę, wydaje mi się to nierealne, jakbym opowiadała swój sen. Jednak wydarzyło się naprawdę. Gdy wracam do codzienności, te piękne wspomnienia stają się tylko kolejną, ale bardzo ważną kliszą do aparatu. Ale od początku...

W październiku ubiegłego roku odebrałam telefon od kolegi z liceum, który już wcześniej proponował mi taki wyjazd. Tego dnia, gdy z nim rozmawiałam, stwierdziłam, że nie mam innych planów na te wakacje i zgodziłam się. Nie chciałam lecieć do USA sama, więc tego samego wieczoru otworzyłam drzwi do pokoju Justyny (mojej współlokatorki) i zadałam kluczowe pytanie: „Lecisz ze mną do Stanów?”. Jej odpowiedź była natychmiastowa i jednoznaczna: tak. W taki sposób znalazłyśmy się w programie Camp Leaders.

Choć aplikowanie wymagało od nas dużego wysiłku i ćwiczyło naszą cierpliwość, jednak było warto. Praca na

campie nie każdego dnia była łatwa, jak to bywa z pracą na kuchni. Czasami byliśmy tak zmęczeni, że wyczekiwaliśmy tylko dnia wolnego. Mimo wyczerpania, zawsze mieliśmy energię, żeby się pośmiać, potańczyć czy zrobić karaoke w kuchni. To były wspaniałe 76 dni w Minnesocie wśród ludzi z całego świata, wiewiórek na każdym kroku oraz pięknych zachodów słońca nad jeziorem Hubert.

Czerwiec przywitał nas bardzo chłodnie. Przez dwa tygodnie chodziliśmy w kurtkach, spaliśmy pod trzema warstwami koców i staraliśmy się ogrzać, stojąc wewnątrz ogromnego piekarnika. Najlepszą czynnością z tego okresu było dla mnie wspólne delektowanie się mokrą. Niestety nie mieli tam dobrej jakości kawy, więc gorąca czekolada w połączeniu z tą kawą była słodkim wybawieniem.

Lipiec i sierpień jeszcze bardziej zintegrował naszą „kitchen family”. W każdym tygodniu odbywały się integracje i próbowaliśmy różnych aktywności, jak np.: strzelanie z broni, łucznictwo czy skakanie



fot. Klaudia Faffek

do wody z ok. 3 metrów (uświadomiłam tam sobie, że mam lęk przed wodą). Dodatkowo często korzystaliśmy z możliwości wypożyczenia rowerów i jeździliśmy do pobliskiej miejscowości na lody do The Chocolate Ox, ale także odpoczywając podczas przerw, rozmawialiśmy o życiu, na hamakach i na pomoście przy zachodzie słońca. Nie zabrakło też dobrej zabawy na kuchni podczas przygotowywania jedzenia na *international day*. Podczas lepienia pierogów czy pieczenia piernika, nagrywaliśmy vlogi, słuchaliśmy na przemian mongolskiej, meksykańskiej i polskiej muzyki, oczywiście tańczyliśmy. To była prawdziwa wymiana kulturowa.

Te dwa miesiące pokazały mi, że przyjaźń można zbudować z każdym, nawet z osobą z odległej dla nas kultury. Na campie poznałam wiele osób z Meksyku, którzy okazali się bardzo otwarci i gościnni. W kółko powtarzali słynne zdanie: *mi casa tu casa* – „mój dom jest twoim domem”. Natomiast Zulaa – kobieta petarda, która według mnie przełamała wszelkie możliwe bariery niezręczności – pokazała mi, że nie ma rzeczy niemożliwych. Sama pochodzi z małej miejscowości w Mongolii, a potrafi mówić w kilku językach, po angielsku jak native speaker, w dodatku studiuje informatykę na Węgrzech. Chcieć to móc – jak się mówi. W czasie tych wakacji poznałam lepiej siebie. Uświadomiłam sobie, że boję się wody, że muszę popracować nad pewnością siebie i zrozumiałam, co właściwie chcę robić w życiu. Ale życie lubi też niespodzianki, więc na takie sytuacje też jestem gotowa.

